

O PRACY FRYZZERÓW NA BLOKACH

Przebywałem kolejno w bloku 10, 15, 5. Najobszerniejszym pomieszczeniem był barak 10. Była to bez okien ciemna piwnica. Przebywali w niej tylko przez pewien czas nowi przybysze. Blok piąty zamieszkiwali przeważnie intelektualiści - w przeważającej liczbie Polacy. Blokowym był Ali /Alojzy Książkiewicz/. Ali miał rękę - młot. Każde jego uderzenie powalało najsilniejszego. Uciekał się często do użycia siły. Przed więźniami - autorytetami tłumaczył się, że musi stosować takie metody dla posłuchu, utrzymania ładu i porządku. Pochodził z okolic Inowrocławia. Do kraju nie wrócił - podobno zginął.

Przebywał z nami w bloku piątym prof, U.W. Marceli Handelsman, historyk, działacz oświatowy znany powszechnie i poza krajem. Niskiego wzrostu, niepozorny i bardzo niezaradny życiowo - był naszym autorytetem. Opiekowaliśmy się naukowcem, którego ceniliśmy za bogate serce i głęboki umysł. Przy pomocy kolegów, zatrudnionych w biurze politycznym, uzyskaliśmy dla niego pracę w podziemnym bloku, gdzie wykonywał lekką pracę dla firmy "Blaupunkt". Praca była dość przyjemna i pod dachem. Wieczorami prowadził z prof, dr M. Handelsmanem rozmowy Jerzy Albrecht /do roku 1968 minister finansów/.

W styczniu 1945 roku rozpoczęto kolejno - systematycznie ewakuować obóz z uwagi na wielką ofensywę armii Związku Radzieckiego. Pewnego dnia przyszła kolej na komando "Blaupunkt". Rankiem - po odbytych apelach i zaprowiantowaniu - kolumna ruszyła w kierunku dworca. Transport skierowano na zachód - do Jeleniej Góry i Chemnitz /dziś Karl-Marxstadt/. W grupie tej znajdował się prof. M. Handelsman, który wraz z innymi przepadł bez wieści. Z komanda "Blaupunkt" uratowało się jedynie kilku więźniów, których w dniu ewakuacji zatrudniono w bardzo pilnych celach przy pracy na zewnątrz obozu.

Każdy więzień musiał być dwa razy w tygodniu golony i przynajmniej raz w miesiącu strzyżony. Przez środek czaszki od czoła do karku biegł wygolony do samej skóry pas, zwany przez nas autostradą. Szpecił on okropnie więźnia, ale to bardzo widoczne nacechowanie miało dla hilerowców duże znaczenie. Golenie odbywało się w części środkowej bloku w tzw. Waschraumie po wieczornym apelu i trwało nieraz do godzin nocnych. Dwaj fryzjerzy ubijali się sprawnie, lecz na ostrzeżenie brzytwy również trzeba było poświęcić sporo czasu. Prominenci zaś i osoby "ważne" - pracujące w biurach goleni byli poza kolejnością. W nocy budzono często fryzjerów do pracy w wypadku przybycia nowych transportów z więźniami. Po Powstaniu Warszawskim, o którym w czasie jego trwania mało wiedzieliśmy, obóz codziennie zapełniał się nowymi transportami z Warszawy. Wszyscy fryzjerzy obozowi pracować musieli nieraz dniami i nocami strzygąc i goląc nowo przybyłych w łaźni. Trudno opisać sceny, które tam się wtedy rozgrywały. Bez przesady można powiedzieć, że łaźnia zamieniała

się w rzeźnię. W rzeźni panuje na ogół jako taki spokój - w łaźni zaś obozowej słychać było jęki, krzyki, klątwy i złorzeczenia kapo - różnojęzyczne wrzaski, wycie, płacz i okrzyki rozpaczliwych, kaleczonych brzytwami, parzonych żrącymi płynami odkażającymi. Skrajna rozpacz ogarniała wszystkich. Porznięci tępyimi brzytwami, kopani i bici przez wyuzdanych, żądnych krwi, kapo, funkcyjnych i SS-manów, wskakiwać musieli do beczek napełnionych odkażającym płynem, który sprawiał niesamowity ból. Wyli więc i wrzeszczeli oprawcy bili bykowcami i kopali nieszczęsnych. Prześcigali się nawzajem w tych barbarzyńskich praktykach.

Obrazy te i przeżycia działały na nas fatalnie. Musieliśmy wykonywać swoje czynności, goląc ciała tępyimi narzędziami. Wielu mężczyzn miało bardzo silny zarost na piersiach, plecach i kończynach. W takich przypadkach operacja miała przebieg bardzo bolesny. Całe ciało więźnia musiało być według regulaminu obozowego ogolone. Głowa też musiała błyszczeć a włosy potrzebowała III Rzesza. Był to surowiec cenny i firmy niemieckie płaciły za niego dobrze.

Więzień - zanim dostał się do obozu koncentracyjnego - doznawał najróżniejszych szykan w aresztach śledczych, więzieniach - był wielokrotnie przesłuchiwany, konfrontowany i często torturowany. Jego droga do obozu to też dalszy łańcuch udręki. Warunki zaś transportu graniczyły prawie zawsze z torturami. W samym zaś obozie "pasowanie" na więźnia dokonywano ściśle według regulaminu obozowego metodami himmlerowskimi.

Starszego bloku Maxa Weisa golił i strzygł zawodowy fryzjer. Ponieważ powołano go do koszar SS-mańskich dla tych samych celów, mnie przypadła w udziale ta funkcja. Z goleniem kolegów nie było biedy, lecz zadowolić blokowego - to już gorsza sprawa. Otrzymałem rozkaz bezbłędnie go ogolić. Za popełniony błąd w tej sztuce obiecał mi solidną zapłatę, co skrupulatnie wykonał przy pomocy swoich ludzi, swoich rąk nie brudząc taką drobnostką. Stwierdził, że zaciąłem go w okolicy podbródka i, że należy mi się zapłata.

Wieczorem nie mogłem zasnąć. Bolały pośladki. Nad moim łóżkiem toczyła się ciekawa dyskusja w języku niemieckim. Niemcy mogli rozmawiać podczas ciszy wieczornej. Dwóch zacietrzewionych polityków, czy filozofów przekonywało się nawzajem co do istoty bytu, idealizmu - czy materializmu. Jeden z nich był wybitnym obrońcą heglizmu, drugi uwielbiał Feuerbacha i Marxa. Dyskusja była ciekawa, więc słuchałem jej z uwagą, zapominając o bólu. Ten, po którego stronie deklarowałem się od samego początku, bił erudycją przeciwnika, znał doskonale filozofię, przytaczał łacińskie cytaty, słowem imponował mi. Chciałem go poznać, chociaż popatrzeć na niego, ale było to niemożliwe.

Aż pewnego dnia, szorując gruntownie podłogę naszego baraku, usłyszałem w drugim końcu "sztuby" te same głosy dyskusji na tematy filozoficzne. Byli to ci sami - poznałem ich po głosie. Mówili o przestrzeni - czasie, o materii, o nieskończoności czasu i przestrzeni, poruszali Kanta, jego koncepcje przestrzeni i czasu, wracali do starożytności i znów do wieku XIX - do Łobaczewskiego, jego geometrii nieeuklidesowej i do marksizmu. I nie wiem jak to się stało, że wtrąciłem się do tej rozmowy spod stołu, gdzie właśnie szorowałem podłogę. Stałem w obronie materialisty, dorzuciłem kilka nazwisk filozofów i jakoś nieskładnie

musiałem przetłumaczyć swe myśli z polskiego na niemiecki - bo reakcja była natychmiastowa. Jeden z nich przygotowywał się do dość prymitywnego sposobu oduczenia mnie wtrącania się do tak poważnych spraw - drugi zaś przeszkodził mu w tych zamiarach i szybko znalazł się tuż przy mnie. Popatrzył, grzecznie zmierzył mnie wzrokiem i huknął: "Ty nie jesteś fryzjerem - kim jesteś?" - Fryzjerem jestem na bloku 15 - odpowiedziałem pewnie. Zaprowadził mnie do okna, chwycił za klapę pasiaka, popatrzył na czerwony trójkąt z literą "P" i rzekł: "WILLY MICHALSKY jestem z Wrocławia". A teraz możesz mi powiedzieć prawdę kim jesteś. Ufałem mu i przyznałem się. Z triumfem zwrócił się do swojego adwersarza światopoglądowego - o czymś ze sobą na osobności porozmawiali i po chwili głośno oświadczyli, że odtąd uważają mnie za przyjaciela i, że będą mnie bronić w każdej potrzebie. Blokowi i inni Niemcy na bloku 15 nie czynili mi już krzywdy, zaczęli mnie poważać, a Max Weis przeprosił mnie nawet za wymierzoną chłostę.

Willi Michalsky był autorytetem w obozie. Zнали go wszyscy starzy więźniowie. Był długoletnim więźniem politycznym hitlerowskich obozów koncentracyjnych, komunistą z Wrocławia, przyjacielem wielu Polaków w Gross-Rosen.

KOMANDO EFFEKTENKAMER

Znajomy Niemiec, którego goliłem poza kolejnością, zaproponował mi dobre stanowisko pod dachem - miał w tej dziedzinie doświadczenie. Warunkiem jednak przyjęcia do Effektenkammer była dobra znajomość języka niemieckiego w mowie i piśmie. Oberscharführer, który przeprowadzał egzamin, zakwalifikował mnie na stanowisko pisarza komanda Effektenkammer /przechowalnia wartościowych przedmiotów/. Pracowało tam kilku nauczycieli i jeden urzędnik bankowy z Warszawy. Funkcję kapo sprawował Niemiec z różowym trójkątem. Odnosił się do nas poprawnie. Był adwokatem a do obozu dostał się za homoseksualizm. Spośród SS-manów tu zatrudnionych spamiętałem jednego okrutnego sadystę. Był nim SS-man Kroatendeutscher. Mały, krępy, pospolity sługa hitlerowski. Milczek - czał się jak kot na swą zdobycz i - skoro dopadł ofiary, powalił ją jednym błyskawicznym ciosem.

W ostatniej fazie wojny Niemcy odczuwali dotkliwe braki w materiale ludzkim. Powoływali do wojska ludzi starszych, fizycznie ułomnych, debilów - nawet wyławiali z obozów koncentracyjnych starszych więźniów - kryminalistów i skazańców z długoletnimi wyrokami. W lipcu 1944 roku pożegnał blok 15 Max Weis. Mówiono, że wcielony został do Wehrmachtu. Odchodząc, płakał przy pożegnaniu. Widocznie dobrze mu było na stanowisku blokowego. Później dowiedziałem się, że został zamordowany przez swoich rodaków.

Za każdym razem, kiedy nadchodziły nowe transporty we dnie czy w nocy - nas pracowników Effektenkammer obowiązywała praca przy przyjmowaniu ich. Polegała ona na tym, że pomagaliśmy SS-manom w ewidencjonowaniu wartościowych przedmiotów, pochodzących od nowo przybyłych. Zaprowadzaliśmy kartoteki, na które nosiliśmy odbierane złoto, sygnety, zegarki, biżuterię, pienią-

dze /marki, dolary/. Wszystko było dokumentnie zanotowane i przechowane. Ordnung muß sein. Te czynności odbywały się na oczach zdających, jeszcze odzianych. Następny etap to zdejmowanie odzieży i rewizja osobista nagich. Odzież również skrupulatnie zapisana wędrowała do odkażenia i do przechowalni /do jesieni 1944 r. - później rzucono ją na stos/. Dalsza praca inwentaryzacyjna odbywała się w biurze. Również portfele należało sumiennie sprawdzić. Znalezione w nich wartościowe przedmioty należało przekazać kierownikowi biura. Moim zadaniem właśnie było gruntowne badanie portfeli. Znalezione pieniądze, lub wartościowe przedmioty musiały być natychmiast przekazane obok siedzącemu podoficerowi SS. Portfele należało związać sznurkiem, nalepić numer właściciela i złożyć w przechowalni. Zawartość portfeli była nieraz kopalnią bogactwa materialnego i historii tragicznych przeżyć rodzin polskich i żydowskich. Były też listy, notatki i fotografie bliskich, kochanych osób. Bywało, że z notatek i owych fotografii poznawałem swoich kolegów i znajomych. Szukałem więc po blokach Leona Urbaniaka, Przytułskiego, ks. kapelana Łukowiaka z Leszna i innych, dla których organizowałem pomoc. Ks. kapelana trudno było poznać. Pod wpływem znęcania się nad nim i głodu zmienił się zupełnie. Jedynie po barwie głosu mogłem stwierdzić, że to był właśnie ks. kapelan Łukowiak. Próbowałem go ratować - daremnie. Wywieziono go z obozu i zaginął.

Jak już wspomniałem, ludzie przechowywali w portfelach cenne przedmioty: złoto, sygnety, pierścionki, brylanty, drogie kamienie, dolary, złote pióra najwyższej jakości z wyrytymi inicjałami itp. Miałem to wszystko przekazać SS-manowi. W wielu przypadkach nie czyniłem tego - sabotowałem, nie przekazując tego dobra, potrzebnego Niemcom do upragnionego zwycięstwa. Chowałem głęboko do portfeli znalezione cenne przedmioty i sznurowałem mocno, jak najmocniej, narażając się na ogromne niebezpieczeństwo. Mocując się pewnego razu z metalowym futeralikiem na grafity do ołówków, byłem uradowany, że znalazłem wreszcie długo szukanых grafitów. Podzieliłem się tą nowiną z Feliksem Borzychem, siedzącym naprzeciw mnie i obiecałem podzielić się z nim tą zdobyczą, ponieważ nie mieliśmy już czym pisać. Napotykałem jednak na trudności z otworzeniem kapsułki. Wreszcie, po długiej manipulacji udało mi się otworzyć pojemniczek i na stół wysypało się 19 pięknych, mieniących się cudnie oszlifowanych brylantów. Feliks mrugnął oczami, SS-man siedział przy sąsiednim biurku, zamyślony nad jakąś pracą, a ja, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zapakowałem 19 brylantów do futeralika i wsunąłem głęboko do portfela.

Evakuując obóz, ładowaliśmy na samochody ciężkie walizy i skrzynie z naszymi kosztownościami. W czyje ręce dostały się te bogactwa z naszego obozu i tylu innych?

Effektenkammer odwiedzał nieraz komendant krematorium Oberscharführer Krinke. Im bliżej ewakuacji, tym odwiedziny te bywały częstsze. Nikt z nas nie miał odwagi zapytać go o tajemnice kryjące się wewnątrz baraku, z którego kominem można było jedynie wyjść na wolność. Raz jedynie - a słysząc już było detonacje katuszy, zgromadzeni w biurze Feliksa, otoczyliśmy kołem siedzącego na skraju biurka komendanta krematorium i pytaliśmy go kolejno o to i o tamto w krematorium. Najśmielszy z nas był kapo Hans. Zapytał w jaki sposób uśmiercano ofiary, jak palono zwłoki itp. Komendant w przystępie dobrego humoru opowiadał dość

szczegółowo i cynicznie: więzień - przeznaczony na śmierć, podchodził do rzekomo mającego go badać lekarza, który zaaplikował mu zastrzyk, posyłał ofiarę w przeciwny narożnik sali. Trucizna działała natychmiast i więzień padał przed samymi drzwiami, lecz nie zawsze martwy. Natychmiast wyskakiwali z przyległego pomieszczenia oprawcy i dobijali ofiarę podkutymi butami, kijami, lub czymkolwiek, a nawet uprawiali na ciele nie-
szczęśliwców różne hece. Lubował się w tych opowiadaniach, śmiał się przy tym głośno, pokazując swą złotą szczękę. Ogarnęło nas przerażenie. Również kapo spuścił z tonu, ale zapytał na koniec jaką planuje nam śmierć? - Oczekiwał odpowiedzi uspokajającej, a może nawet zapewnienia uwalniającego nas od mąk krematoryjnych. Odpowiedź była jednak nieoczekiwana. Śmiejąc się jeszcze głośniejszym głosem, szef krematorium wyjaśnił sprawę następująco: Zaaplikuję wam podwójną porcję trucizny, by was uchronić od dobijania, bo to trochę nieprzyjemnie przypatrywać się - jak znajomi męczą się pod wpływem traktowania ich ciał podkutymi buciorami funkcyjnych.

Działy się w obozach rzeczy straszne, dziwne, okrutne, przerażające i makabryczne. Patrzyli na to i przeżywali ludzie prości i intelektualisci, byli uwikłani w ten mechanizm niesamowitego życia, ocierali się o tragiczną śmierć, byli aktorami i statystami przerażających scen i wydarzeń na tym skrawku ziemi i nieba bez ptaków, gdzie jedynie szary, duszący dym z komina krematoryjnego włókł się między barakami i zapychał nozdrza mieszkańców tej przeklętej "anus mundi".

Na apelach, trwających nieraz godzinami w deszczu, śniegu i mrozie, wciskały się uparcie myśli i marzenia nieziśniczne. Czy świat dowie się kiedykolwiek o tym co działo się naprawdę w obozach koncentracyjnych? Czy jest ktokolwiek w stanie opisać choć jeden dzień żywota jednego więźnia - jego pracę w pocie czoła, udręki, choroby, głód dniem i nocą, znoszone zniewagi i deptanie jego godności? - Marzyłem, by móc to wszystko sfilmować niewidzialnym aparacikiem, sfilmować jeden jedyny dzień od świtu do nocy: dręczące apele, wybiórki na śmierć, zawiadomienia o egzekucji lub otrzymanych listach, pisanie listów do domu "ich bin gesund...", udręczone marsze do pracy i z pracy, mordercze roboty w kamieniołomach, przymusowy udział w publicznych egzekucjach /wieszanie/, codzienne akcje odswszawiania, cyniczne "witanie" uciekinierów żywych i martwych, odbywanie kar zbiorowych, codzienny głód, widok "muzulmanów" wlokących się po obozie, desperyckie kroki samobójstwa - rzucanie się na druty wysokiego napięcia, ocieranie się o śmierć, tragedie ludzi charych, nocne odwiedziny SS-manów /pijanych/ i masowe chłosty niewinnych w półśnie będących więźniów.

Taki film jednego dnia z autentycznymi więźniami i SS-manami i autentycznego życia obozowego byłby najwierniejszym obrazem tamtych czasów.

Marzyłem, by stać się niewidzialnym i nękać zbrodniarzy SS-manów i funkcyjnych - obrzydzić im życie za ich popełniane zbrodnie. Towarzyszom zaś nieść różnoraką pomoc... To były moje marzenia na apelach - a może nie tylko moje? - ...

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.69.

WSPOMNIENIA O ORKIESTRZE W GROSS ROSEN

Orkiestra obozowa; Hm, - brzmiałoby to nawet i pogodnie i radośnie gdyby chodziło o obóz młodzieżowy czy harcerski w czasach pokoju, czy nawet obóz wojskowy w czasie jesiennych manewrów. Wszędzie tam orkiestra jest przejawem wszystkiego co tchnie optymizmem, pogodą, radością, czasem budzi zadumę i smętne rozważania, tak czy siak, dostarcza przeżyć artystycznych. Ale, orkiestra obozowa, gdy obozem jest kacat! wtedy jest to pojęcie wprost kontrowersyjne; muzyka często potęguje potworność lagru, nie raz towarzyszyła udręce ludzkiej, makabrze śmierci poprzedzonej męką jednego, czy grupy więźniów.

Jeśli chodzi o moje doznania, jako członka Lagerkapelle w Gross Rosen, to pozytywnie oceniam w moich wspomnieniach słynną "Szopkę Grossroseńską" w grudniu 1944 r. oraz moje rzępolenie na akordeonie na "zamówienie" prominentów różnych bloków, no bo wtedy jadłem! jadłem!, jako że płacono mi papierosami, chlebem, marmoladą itp., dzięki czemu w pewnych tygodniach byłem taki puryc, że mogłem muzulmana poratować "pajdką" chleba, czy dać komuś całego/!/ papierosa. Koniunktura taka zdarzała się raczej dorywczo, ale, co najważniejsze, że ja i wielu mnie podobnych przeżyło obóz tylko dzięki należeniu do orkiestry, tym bardziej że w lutym 1945 roku w czasie ewakuacji części obozu do Leitmeritz w Sudetach, orkiestra in corpore, z instrumentami i sprzętem /nuty, pulpity/ w owym potwornym, jeżeli chodzi o warunki zakwaterowania, Leitmeritz dostała wspaniałą kwaterę w czystym, wygodnym baraku prominenckim. Gdy rozszalał się w obozie tyfus zmarło tylko dwóch orkiestrantów, poza tym wszyscy przeżyli i doczekali wolności.

Gdy trafiłem do Gross Rosen w tzw. wielkim zugangu warszawskim po Powstaniu, w końcu września 1944 roku i wręczałem schreiberowi Polakowi dokumenty, ten spojrzawszy na kenkartę odezwał się bardzo serdecznie "jesteś muzykiem, a tu jest ogromna orkiestra, staraj się do niej dostać, to ci może złagodzi obóz". Rozpoczęły się wszelkie rytuały "chrzcin" zuganga, inauguracja musztry /mützen auf, mützen ab/, mordobicia, no i głód, głód coraz dotkliwszy. Gdy nastąpiła sobota zabrzmiała dęta orkiestra trąbiąca marszydło po całym obozie. W niedzielę orkiestra trąbiła przy bramie, gdy komando i inne grupy robocze wracały ze sztajnbruchu itp. po pracy. Jak wtedy, tak i później nieraz wiataliśmy muzyką zmarłych w pracy nieszczęśników niesionych przez więźniów na apel /by stan się zgadzał/. Tak!! w obozie nie jednemu się zmarło pod muzyczkę.

Dni płyną, a ja tu nadal, a to stehcomando, a to noszenie kamieni, a to inne czynności mające zapewnić rozkwit trzeciej rzeszy, a tu sił coraz mniej, ząb pęka mi wzdłuż, nogi puchną, lekka rana z powstania podłę się goi, coraz bliższa perspektywa na "wyciągnięcie kopyt". Ale Bóg czuwał nade mną, bo przy końcu października dostałem się do orkiestry i zostałem przenie-

siony na tzw. blok "stary" nr 3, gdzie kwaterowała prawie cała orkiestra.

Już w pierwszą niedzielę na nowym miejscu zostałem niebiańsko oszołomiony dobrodziejstwem dodatkowego kotła zupy dla orkiestry; wspaniałej niedzielnej zupy tak pysznej "jak u mamy". Muszę wyjaśnić skąd mój aż taki entuzjazm. Otóż na bloku zugangowym wydawano obiad w ten sposób, że sztabowy, jak się okazało mistrz w swej sztuce, zamieszawszy tzw. "kielę" zupę w kotle wlewał ją także "kielę" w miski podchodzącym kolejno więźniom. Zupa była tak rzadziutka, że figurujący w niej czasem kartofelek był wprost zjawiskiem nadprzyrodzonym i dopiero blokowy ze sztabowym i innymi prominentami jedli zupę gęstą i pożywną, jak w sanatorium. Kiedyś wylazło szydło z worka, ale nic nam z tego nie przyszło: w pewne południe, gdy przyniesiono kocioł z obiadem i sztabowy zabierał się do rozdzielania "okradanej" zupy, nagle nadeszli dwaj lagrowi /Lagerältester/, stanęli obok kotła, na ich władczy szwargot sztabowy bardzo gorliwie zamieszał zupę i gdy zaczął ją wydawać, wszyscy odchodzący od kotła osłupieli! Każdy miał w supie sporo kartofli i innych przypraw pod dostatkiem. Lagrowi do końca pobierania obiadu stali i nie spuszczała oka ze sztabowego. Tego dnia prominenti nie obżerali się naszą krzywdą, ale niestety w następnych dniach było po staremu; toteż kiedy na bloku 3 dostałem wspaniałe gęstą, tłustą i bajecznie smaczną zupę... ale tego nie zrozumie nikt kto nie przeszedł nowicjatu zuganga, nie miał spuchniętych od flegmony nóg, nie zbierał z błota spadłych okrucich z "pajdki"..., no, chyba dość tego wyliczania! Miałem pisać o orkiestrze nie o zupie.

Okazało się, że jest w Gross Rosen także orkiestra symfoniczna, bez fagotu, oboju, kotłów, z kontrabasem nieobsadzonym, ale ... była! Z niej wyłoniony był zespół koncertujący co wieczór w kantynie. Kapelmistrz, Hans Wessel, podła padlina, sadysta i pedał, był blokowym na 3-ce gdy ja tam nastałem. Jeden z muzyków tak dostał od owego Wessela w ucho, że biedak ogłuchł na nie i stale go bolało. Wessel grywał sobie na skrzypcach lub saksofonie; uznawał tylko lekką muzykę m.in. operetkową. Twierdził z całym przekonaniem, że Mozart czy Bethoven to "das alles ist szajs" a "prima, gute musik" to np. Paul Linke czy walce Straussa. Wessel był przeraźliwym zaprzeczeniem istnienia wysokiej kultury muzycznej przypisywanej narodowi niemieckiemu. Od listopada Wessel został przeniesiony na blokowego na blok schreibstuby, ale kapelmistrzem był nadal do wyzwolenia 8 maja 1945 r.

Orkiestra składała się z kilkudziesięciu członków różnego autoramentu, narodowości, poziomu intelektualnego, fachowości. Najwięcej w orkiestrze było Polaków i Rosjan, poza tym trzech czy czterech Belgów, po jednym: Jugosłowianin, Czech, Włoch i Niemiec /oprócz Wessela/. Piszę, jak jeszcze pamiętam. A jak wyglądała praca orkiestry? Prawie wszyscy muzycy byli normalnie zatrudnieni na różnych funkcjach, jak zwykli więźniowie. Orkiestrą stawaliśmy się tylko na sobotę i niedzielę. W sobotę, od rana zwolnieni z pracy na funkcjach, w kantynie mieliśmy próbę orkiestry dętej, lub symfonicznej, albo pisanie nut, czy naprawa instrumentów czy też indywidualne ćwiczenia. W południe orkiestra dęta pod wodzą tamburmajora z buławą wyruszała na obóz trąbić radość z potęgi III Rzeszy i wypłukać w trąby uciechę, że "arbeit macht frei". Po przerwie obiadowej było wolne lub

próba w kantynie, a w czasie zbiórki na wieczorny apel granie marszów przy bramie gdy komanda wracały z pracy. Czasem wieczorem w baraku z salą widowiskową bywał koncert dla więźniów. Repertuar? Suppé'go "Lekka kawaleria", potpourri Pawła Linkego, drobne intermezzy i inne mało ambitne pozycje, jako, że Wessel dyrygował jako tako, ale był głupi jak but, jeśli chodzi o rozpoznanie w jakości muzyki. W niedzielę od rana próba poprzedzona marszami po obozie, w południe granie przy bramie, przed apelem południowym /w niedzielę praca była tylko do południa/. Po obiedzie z dodatkową "arcyzupą" - wolne, lub czasem koncert.

Wyżej opisany "błogostan" orkiestry trwał do końca 1944 roku jako, że w styczniu ruszył front wschodni w związku z czym i u nas zaczęło się psuć to i owo, ale na razie wspomnę o niektórych członkach orkiestry, Polakach.

Jan Piegza /klarnet Es/, stołowy, chyba najstarszy wiekiem, miły, uczynny, co "biedniejszych" obdzielał rezerwowymi frysztykami czy zupą. Po wojnie Piegza wrócił na dawną posadę w Krakowskiej Dyrekcji MZK, po czym wkrótce zmarł.

Stanisław Włodarski: przed wojną pierwszy skrzypek warszawskiego Kwartetu Polskiego Radia. Grał cudownie. Kanalia Wessel zazdrościł mu jego kunsztu i wyznaczał Stasia do noszenia kotłów z zupą, by mu zniszczyć palce, ale Staś to przeżył, wrócił do swojej wspaniałej formy i po wojnie, jako członek SPAM-u grał w Filharmonii Narodowej, a potem w Lublinie, gdzie zmarł.

Zupełnie osobliwym zjawiskiem był Zdzisław Nowacki. Ten genialnie zdolny muzyk, przed wojną bardzo młodo ukończył Konserwatorium /klasę organów i chyba kompozycji/. Wspaniały pianista i trębacz. Szeroko scharakteryzowany w latach 1945-1950 przez dra Andrzeja Jagielskiego w książce "Sclavus saltans", Nowacki w dwa czy trzy dni /zwolniony z pracy/ skomponował i napisał na chór 4-głosowy /orkiestrę z chórem i solówki/ i poprowadził całość wyżej już wspomnianej "Szopki" /z tym, że chór świetnie przygotował Edward Roguski/. Część orkiestrantów grała w zespole muzycznym, a część jako aktorzy i chór - na scenie, gdzie głównymi wokalistami byli W. Dzieduszycki i przedwojenny król operetki K. Wejroch-Dębowski. "Szopka Grossroseńska" to najwspanialsze i najbardziej wzruszające wspomnienie z obozu dla nas wszystkich biorących udział. W książce j. Jaworskiej "Nie wszystek umrę" w wzmiance o "Szopce" wymieniono tylko znikomą ilość nazwisk biorących udział w tym niezapomnianym spektaklu; to mnie oburza, mimo że moje nazwisko tam figuruje. Wracając do Zdzicha Nowackiego, to po wojnie pracował jako kompozytor i jako pedagog w szkole średniej muzycznej w Warszawie. Niestety, wcześniej zmarł na raka.

Wkrótce poszedł za nim skrzypek Bronek Misztal, który w obozie odznaczył się tym, że mnie, czy innych "młodych" /tzn. niedawno przybyłych heftlingów/ traktował na równi ze "starymi", był uprzejmy, koleżeński i nie "strugał waśniaka", czego, niestety nie mogę powiedzieć o większości zwłaszcza młodych wiekiem w środowisku orkiestrowym, ale mniejsza z tym. Bronek Misztal bywał też tamburmajorem, chodził z buławą w czasie gry w pochodzie. Po wojnie pracował w Operetce Warszawskiej. Zmarł bodaj na raka.

Jeszcze mógłbym nie wymienić wspomnianego już Wojciecha Dzieduszyckiego! Świetnie jest nam dziś znany jako autor i wykonaw-

ca telewizyjnej audycji z Wrocławia pt. "Dymek z papierosa". Także często występuje w TV jako publicysta muzyczny i w innych audycjach związanych z muzyką, zawsze będąc w tym uroczy. W obozie należał do orkiestry, mimo, że nie grał, tylko śpiewał przepięknym tenorem, znanym przed wojną w kraju i za granicą. Nieraz akompaniowałem mu na akordeonie. Jego sposób bycia w obozie był wprost zdumiewający. Zawsze pogodny, wesoły nawet, tak jak Broniek Misztal dla wszystkich jednakowy, ogromna kultura wprost zaskakująca na tle bydlęcej obyczajowości kacetu. Nosił się tak, jakby nie był w lagrze /i to od dawna/ tylko w jakimś wytwornym sanatorium czy klubie lub innym ensemble u w wysokich sferach, mimo że był bardzo prosty w obejściu. Jest on pierwszym z wymienionych przeze mnie, który żyje i działa i to działa "na Parnasie" /przez duże P/.

Jednym z najstarszych "stażem" orkiestrantów był Edward Roguski, elektryk a w orkiestrze perkusista i zapobiegliwy konstruktor i "Organizator" /to znaczyło to samo, co zwykle "happen gewesen" odnośnie własności III Rzeszy/ materiału potrzebnego na doskonałe dzwonki /cymbałki/ orkiestrowe, czy też rury na dzwony w "Szopce" itp. Jako działacz w sekcji historycznej naszego klubu wykazał ogromną pracowitość zbierając materiały do napisania, można powiedzieć odtworzenia scenariusza i relacji z widowiska "Szopka Grossroseńska".

Nie mogę nie wspomnieć o młodocianym Kazimierzu /?/ Bąku /harmonia 3-rzędowa i akordeon/, który w odróżnieniu od innych młokosów zdemoralizowanych przez obóz był dla mnie zawsze uprzejmy i nie zrobił mi nigdy przykrości. Doskonały muzyk. Spotkałem go po wojnie w Radomiu, tak jak w Piotrkowie spotkałem Czesława Bobra /pianistę z akordeonem/. Byłem przez państwa Bober goszczony obiadem.

Z obcokrajowców wspomnę o Belgu L. Oiseau, artyście przez duże A. Był wspaniałym wiolenczelistą, profesorem Konserwatorium w Brukseli. Nie wiem czy przeżył obóz.

Jak już wspomniałem dwóch kolegów zmarło w Leitmeritz na tyfus: Antoni Frąckowiak trębacz, muzyk wojskowy z Poznania i Gaziński /czy Gaziński/ klarncista, który w Gross Rosen pracował w komando Siemens.

Na tym kończę wspominki o niektórych muzykach, pozostali figurują we wspomnianym wyżej spisie z lat wczesnych 1970-tych.

Z ostatnich tygodni w Gross Rosen mam jeszcze takie wspomnienie, bardzo frapujące. W owym czasie wprowadzono tzw. blockarztów, którzy będąc zakwaterowani na blokach, na miejscu pełnili swoje lekarskie funkcje. Otóż naszemu blockarzowi na 3-ce skradziono paczkę margaryny. Zarządzono rewizję na bloku i wśród nas, zebranych akurat w kantine przed graniem. Ja struchlałem, bo poprzedniego wieczoru koncertowałem na którymś bloku, gdzie jakiś prominent obdarował mnie półpaczką margaryny, o czym głośno zakomunikowałem wszem wobec. Odpowiedziano mi, że jestem poza podejrzeniami, choćbym miał pięć margaryn. Zanurzyłem się tedy w samouwielbieniu, a okazało się wkrótce, że margarynę ukradł kto? jedyny Niemiec w orkiestrze, nazwiskiem Ślusarczyk /sic!/ flecista. Wyleciał z orkiestry i z bloku i tyle go widziano.

Jak już wspomniałem, orkiestra po 3 dobach potwornej jazdy w odkrytym wagonie zajechała z tym okropnym transportem do Leitmeritz, gdzie na dworcu wydarzyła się następująca makabra. W od-

krytych wagonach był taki tłok, że więźniowie stali w nich tak osłabieni, że ledwo żyli i umierali stojąc /sic!/. Zarządzono wysiadanie i przy każdym wagonie siadała bezsilnie na ziemi grupa tych co nie mieli siły stać. Wtedy esesman, idąc wzdłuż wagonów, zabijał tych biedaków strzałem w głowę. Grozę powiększał pies-wilk esesmański, który biegł przodem i obiegał każdą następną grupę "skazańców" z wyciem mrozącym krew w żyłach. Tuż obok, na peronie Niemki w uniformach podejmują esesmanów z naszej eskorty gorącą kawą z kotłów i sutymi kanapkami. Towarzystwo to bardzo radośnie i hałaśliwie rozmawiało, one wesoło rechotały, patrząc na nas i na śmierć zabijanych więźniów, jak się patrzy np. na piszącego list, czy na trzępiącego dywan. Dziwne bywają niespodziewane zjawiska sprzeczności natury ludzkiej, bo kiedy esesman morderca był jeszcze oddalony od nas o parę wagonów, wówczas obok nas przechodził, ledwo powłócząc nogami jakiś biedak, który ostatkiem sił wstał z ziemi i usiłował iść przed siebie. Miał on na sobie zrolowany koc przemoczony, więc ciężki niewątpliwie. Za nami był osobowy wagon dla esesmanów. W tylnym oknie stanął esesman-ukrainiec /poznałem po gębie i po polskiej z ruską mowie/. Zaczął on do nas wołać "Ratujcie tego człowieka! Muzykanty weźcie go między siebie. Zrzućcie z niego w kibieni materię ten koc ciężki bo sam pod nim zdechnie. Trzymajcie go pod ręce, bo upadnie i ten sk.... syn go zastrzeli". No cóż, bywa i tak. Jako się rzekło niezbadane są tajniki natury ludzkiej. Po tym był przemarsz przez miasto do obozu. My graliśmy marsze, kolumna heftlingów szła, roniąc po drodze ludzi padłych z wysiłku, których esesmani zabijali natychmiast strzałem w głowę.

W Leitmeritz zaczął się zabawny widok jak grossroseńscy sztubowi, foreibajtrzy i tym podobne cwaniactwo byłych prominentów - z miejsca stali się zwykłymi heftlingami, stracili wszelkie łajdackie i niełajdackie przywileje, bo tu byli miejscowi prominenci gotowi bronić zębami i pazurami swoich lukratywnych stanowisk.

Warunki mieszkaniowe" były tu okropne, ale orkiestra zamieszkała jak już wspomniałem w luksusowych jak na tutejszą wszarnię warunkach. Wessel swoim dudleniem na saksofonie i granie całej orkiestry w kuchni - wyrobił sobie funkcję w tejże kuchni i paradował bądź to na biało, bądź to w marynarce z wyhaftowaną plakietką "Lagerkapele" na rękawie. Ten łajdak tak porósł w pierze, że sprawił sobie ładnusięgo chłopaczka - "pałkę". Orkiestrze kazał grywać tu i ówdzie, gdzie spodziewał się jakichś apanaży dla siebie.

No i dalsze wspomnienie. Raz, gdy pędzono nas w sporej grupie na plac budowy, zapomniano przydzielić pracę mnie i nieznanemu więźniowi, a bojąc się stać bezczynnie, bo wiadomo czym to pachniało, zrobiliśmy sobie wspaniałą labę: pod płótem leżała kupa desek sosnowych, z której biorąc po jednej desce we dwójkę - przenieśliśmy wszystkie na drugą stronę placu pod ogrodzenie. Teraz poprzenosiliśmy deski z powrotem na stare miejsce i tak w tę i wewtę, aż do przerwy obiadowej wcale nie przepracowawszy się. Nikt przez cały czas nie zainteresował się tym. Grunt, że stale byliśmy w ruchu. Kiedy indziej orkiestrantów in corpore popędzono poza obóz do noszenia już nie pomnę skąd i dokąd worków z mąką, za to pamiętam, że nie tylko podjadaliśmy w obozie cudo-placki, ale i na lagrowym handlu wymiennym ukazała się mąka.

Innym razem, gdy na rewirze leżało kilkudziesięciu Belgów otrzymali oni od belgijskiego Czerwonego Krzyża kilka pudeł papierosów. Podział dokonywany przez samych Belgów miał się odbyć ok. 20-ej wieczorem. Gdy komisja belgijska zasiadła z listą, by rozpocząć podział, nagle w całym obozie zgasło światło. W egipskich ciemnościach dało się słyszeć szamotanie, odgłosy bijatyki, jęki bólu, po tym zbiorowy tupot i... cisza. Gdy zabłysło światło, ujrano rozwalone pudła z resztką zgniecionych papierosów i członków nieszczęsnej komisji, trzymających się za obolałe miejsca. Po paru dniach strategicznego odczekania, w handlu wymiennym ukazały się od dawna nie widziane papierosy. Zaznaczam, iż wiem na pewno, że opisany nalot zrobili nie Polacy! Wymawiając słowo "nalot", nie zawadzi akcentować drugą sylabę.

Jeszcze jeden, tym razem esesmański pomysł odnośnie uzyskania dóbr doczesnych. Otóż SS podejrzewało, że grupa heftlingów - Niemców, zatrudnionych w Gross Rosen w Effektenkammer i przy innych "źródłach" cennych efektywów - powinna była obłowić się obficie i posiadać swoje skarby przy sobie. Zapowiedziano im, że będą przeniesieni do innego lagru, i że przedtem muszą wykąpać się w łaźni. Gdy ci "biedacy" pluskali się radośnie, esesmani "przefilcowali" ich odzież i bambetle z wiadomym skutkiem. Relacjonuję ten casus na odpowiedzialność bezimiennych łaźbeników. Podobno gdyby ci "biedacy", bogaci w stan posiadania przed kąpielą, wyszli na wolność, mogliby do śmierci żyć jak milionerzy.

A tymczasem zbliżał się maj, a z nim coraz więcej sygnałów, że "tylko patrzeć". I wtedy mieliśmy moment radosnej satysfakcji. Pewnego ranka, w czasie apelu jeden z esesmanów stanął przed frontem ćmiąc papierosa. W pewnej chwili rzucił niedopałek /na ziemię, a wtedy kilku więźniów z szeregu rzuciło się i stoczyło walkę o tego peta. Esesman, odchodząc obejrzał się i zarechotał. Parę dni później, tenże esesman powtórzył zabawę z tą różnicą, że gdy dopalał papierosa, rzucił sporego peta na ziemię i powoli, z premedytacją rozdeptał go na miazgę, po czym spojrzawszy na zawiedzionych "palaczy" znów nikczemnie zarechotał. Po paru tygodniach, już przy końcu kwietnia, nasz esesman znów stanął z papierosem przed naszą kolumną. Ten i ów zgrzytnął zębami na widok tej kanalii. Esesman wypaliwszy papierosa do połowy starannie zgasił go o podeszwę i troskliwie schował peta za zakładkę czapki. Teraz to my zarechotaliśmy, tyle że na razie... w duchu. I na nich przyszła biada.

A oto obrazek ilustrujący niebywałą spryt i błyskawiczny refleks, no ale i u nas trafiają się obdzieracze zmarłych. Na wstępie muszę nadmienić, że do naszego "wytwornego" baraku "worganizowało" się dwóch Polaków z grossroseńskiej schreibstuby. Przemiły kolega Romański z Krakowa /brat naszego, również bardzo miłego wiolonczelisty Tadzia Romańskiego/ i dwudziestoparolatek Tyrankiewicz, posiadacz bardzo ładnej menażki, którą trzymał przepisowo na poduszce. Na zapleczu naszego bloku było kartoflisko obozowe, przedmiot marzeń każdego głodomora heftlinga. Za kartofliskiem była esesmańska wieżyczka strażnicza, a w niej strażnik z wycelowanym pistoletem. Gdyby nie esesman, można by przez druty kijkiem wyciągnąć parę kartofli; nikt rozsądny wszakże nie ryzykował. Jednego z pierwszych dni maja odpoczywaliśmy po nędznej niesłonej, lurze, gdy usłyszeliśmy nagle bliski

strzał od strony kartofliska. Ktoś, bodajże Nowacki podbiegł do okna i krzyknął "No tak! Tyrankiewicz! zachciało mu się kartofli! no, już po nim!". W tym momencie jeden z nas /nazwiska nie wymienię/, zerwał się jak oparzony z łóżka, skoczył jak pantera do łóżka Tyrankiewicza, chwycił łąpczywie wspomnianą piękną menażkę i z miną tryumfatora stał się jej posiadaczem. Na komentarze szkoda papieru.

W marcu już żyło się bardzo podle. Każdy z nas "organizował", kombinował, jak mógł. Głód doskwierał; ja na jednym z nielicznych koncertów na akordeonie jadłem barszcz na psim mięsie, podobno z psa skradzionego esesmanom, Smakował mi jak najlepszy specjał na świecie. W kwietniu grupa muzyków zgłosiła się do zakopywania trupów, bo kto nie pracował prawie nie jadł. Na mieście cywile też podobno głodowali. Pewnego dnia, wracając z pracy w sztolni, zastaliśmy obóz otoczony karabinami maszynowymi. Były to jakieś ćwiczenia rekrutów Niemców - ex-heftlingów, ale ja wyraziłem pogląd, że karabiny są wycelowane w miasto i mają bronić obozu przed najściem cywilów, którzy wiedzeni głodem mogą wpść do lagru na naszą krańcowo nędzną zupę i na chleb w ilości bochenek na szesnastu. He, he, he. No, jakoś dożyło się do maja, maja ze śmiercią /idiotyczną/ Tyrankiewicza, śmiercią Frackowiaka i Gazińskiego na tyfus, z setkami zmarłych z głodu i na tyfus, w ogóle z makabrami, o których ci co przeżyli - wiedzą, ci którzy tego nie przeżywali - najprawdopodobniej nie uwierzą.

W dniu 7 maja, po południu spędzono cały obóz na plac i rozpoczęły się dziwne manipulacje. Zaczęto nas segregować według nieznanych nam na razie wytycznych. Rej wodził słynny Józek - arbeitdienst, kotr nad kotry, a wśród nas uwijał się niejaki X /tak! iks/, oddzielając poszczególnych ludzi od kolumny i tworząc z nich osobną grupę. W pewnej chwili chwycił mnie za ramię i brutalnie popchnął do tej nowej grupy. Niech mu będzie wybaczone, jak ja mu wybaczyłem. Potem tę nową pokąsną kolumnę poprowadzono w stronę dworca, gdzie na bocznym torze wsadzono nas do bydłących wagonów. Obok mnie znaleźli się bracia Romańscy, zawsze rażniej, no bo za pożyczony im koc dostałem od nich kromę chleba. Zanosilo się na to, że nas wywiozą na jakąś zakamuflowaną rozwałkę, ale Bóg zrządził inaczej. Przesiedzieliśmy w wagonach do rana, kiedy to odprowadzono nas z powrotem do obozu. Widocznie już nie mieli gdzie nas wywieźć, byliśmy w kleszczach dwóch frontów. Tu po podłej lurze - śniadaniu pognano nas w sporej grupie na dworzec do wyładowywania węgla z wagonów na wozy. Młodziki z hitlerjugend poganiali nas szpicrutami, ale ani poganiający, ani poganiani nie wiedzieli, że to ostatni dzień, ostatnie podrygi hitlerowskiego bestialstwa.

Po "obiedzie" jakoś długo nie wzywano nas do pracy, a gdy w końcu zabrzmiał gong i bloki ustawiły się na placu, jakiś oficer gestapo /na czarno/ wyszedł przed front, wlaźł na brudną beczkę po smarze i z tego prozaicznego piedestału ogłosił przez dolmecerów, że wojna skończona, że jesteśmy wolni itd. W tej chwili parę piątek ode mnie ktoś z łoskotem runął na ziemię. Podobno padł martwy ktoś z Lublina, który od 1940 roku siedział w różnych lagrach, nie otrzymywał paczek ani nigdy nie miał żadnej "intratnej" funkcji a dostał śmiertelnego wylewu na wieść, że dożył wolności.

Zadziwiające, ale dość spokojnie przyjął obóz wieść o wolności, tyle że ogromny tłum pobiegł za nasz blok do kartofli-ska. Esesman stał w wieżyczce z bronią w ręku. Było obustronne, nabrzmiałe emocją i wyczekiwaniem milczenie. Nikt nie uczynił kroku. Nagle, na odgłos szwargotu odległej komendy, esesman zarzucił pistolet na ramię, zstąpił z godnością po drabinie i oddalił się. Wtedy dopiero, w ułamku sekundy, kartoflisko pokryło się tłumem "już nie więźniów", a wkrótce cały obóz pokrył się masą ognisk. Stoły, stołki, prycze rąbano czym się dało, stwarzając stosy drewna na ogniska, gdzie pieczono, gotowano, tarto na placki wytęsknione ziemniaki. Niestety, jak słyszałem, i ta radosna orgia skończyła się tragedią. Podobno na rano było kilkadziesiąt trupów biednych muzułmanów, którzy na wygłodzone żołądki przejedli się ziemniakami.

Po otrzymaniu pisanych ochotniczo przez naszych kolegów /chwala im/ auswajsów z wroną, a także zaopatrzeni w trochę jadła, po trzech dniach wyszliśmy na wolność.

Mało co pamięta się z tych pierwszych dni. Z drogi na Czechosłowacji pamiętam cudowny widok, jak powstańcy czescy prowadzili maszerujących czwórkami ponad setkę oficerów niemieckich zgębionych, spoconych, zdziadziałych.

No, i był jeszcze występ części orkiestry na wolności. Nasza grupka muzyków maszerowała z zabranymi z obozu instrumentami. Był akordeon, klarnet, trąbka, skrzypce i coś tam jeszcze. Gdyśmy z muzyką weszli do wsi Křesin, rozentuzjasmowani oswobodzeniem Czesi w mig nas nakarmili, ulokowali w szkole, gdzie dostaliśmy słomę na pościel i zatrzymali prawie przez tydzień, tłumacząc że w terenie pełno niemieckich maruderów, co może być dla nas niebezpieczne. Czesi ci nazajutrz urządzili pochód patriotyczny i taką "czym chata bogata" quasi akademię ku uczczeniu odzyskania niepodległości. Imprezę tę uświetniliśmy naszą muzyką, grając bardzo partacko hymn czechosłowacki, a także /"w części artystycznej"/ trochę do tańca.

W niedzielę pierwszy raz od dawna poszliśmy na mszę św. do kościółka. Miejscowy organista grał jak umiał, to znaczy... podle, a śpiewał - pozał się Boże, ale chętnie ustąpił miejsca przy organach Zdichowi Nowackiemu, który prześlicznie grał i uroczo odśpiewał "O Władco świata". Tym, jakże kojącym wspomnieniem o dźwiękach tak innych niż te w obozach - kończę moje wspomnienia o orkiestrze powstałej w kacecie, gdy jej ostatnie akordy "ku chwale Bożej", przebrzmiały w czeskim wiejskim kościółku.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.70.